

# POLEMIKA

JACEK CHACHAJ

KUL Lublin

## **JAK NIE NALEŻY ZAJMOWAĆ SIĘ HISTORIĄ. W ODPOWIEDZI NA RECENZJĘ MATEUSZA KOSONOWSKIEGO**

(Czy królowa Rycheza mogła coś wiedzieć o Lublinie?

Na marginesie koncepcji powstania i rozwoju organizacji kościelnej  
w Lublinie w XI-XIV wieku pióra Jacka Chachaja<sup>1</sup>)

W kwietniu 2015 roku do redakcji jednego z ukazujących się w Lublinie czasopism naukowych przesłany został artykuł recenzyjny. Profil tego czasopisma ma niewiele wspólnego z tematyką recenzowanej pracy i nie jest jasne dlaczego Autor recenzji zwrócił się właśnie tam, skoro istnieje wiele periodyków znacznie bliższych tematyką zamieszczanych na ich łamach prac przedstawionemu do publikacji tekstowi. Można się domyślać, że sądził, iż w ten sposób łatwiej dotrze do środowiska lubelskiego, albo obawiał się, że w środowisku tym teksty ukazujące się poza Lublinem pozostają nieznanne. Może jednak kierowała nim po prostu coraz częstsza niestety ostatnio pogonia za opublikowaniem artykułu w periodyku mającym wyższą punktację, a nie chęć dotarcia ze swoim przekazem do kogokolwiek. Redakcja czasopisma, do którego trafił pierwotnie tekst, mimo nietypowej dla niego tematyki, rozważyła jego druk, postawiła jednak dwa warunki niezbędne dla jego

---

<sup>1</sup> „Nasza Przeszłość”, 124 (2015), s. 265-300.

„Nasza Przeszłość” t. 125: 2016, s. 309-324.

opublikowania. Pierwszym była zgoda autora recenzowanej pracy na zamieszczenie jego odpowiedzi wraz z recenzją, drugim – istotne skrócenie niespotykane długiego artykułu recenzyjnego. Z tych dwóch warunków został spełniony tylko pierwszy, bo Autor recenzji po wyrażeniu wstępnej zgody, ostatecznie odmówił skrócenia tekstu<sup>2</sup>. Oznaczało to co najmniej odsunięcie w czasie druku artykułu, jeśli nie w ogóle zaniechanie jego publikacji. Ostatecznie recenzja ukazała się w niemal pierwotnej postaci<sup>3</sup>, choć w innym czasopiśmie, co nakazuje mi odnieść się do licznych zawartych w niej zarzutów.

Konieczność ta nie zrodziła się jednak wyłącznie w efekcie tego, że Mateusz Kosonowski kategorycznie odrzuca niemal wszystkie pojawiające się w pracy hipotezy<sup>4</sup>. Nie jest to zaskoczeniem dla autora,

---

<sup>2</sup> Napisanie bardzo długiej recenzji było pretekstem do drobnych złośliwości, na które Recenzent nie mógłby sobie pozwolić, gdyby musiał pamiętać o rozmiarach swojego tekstu. Przykładem jest przypis 11 ze s. 272, gdzie zwraca uwagę na fakt, że w przywołanych w pracy dziełach Gerarda Labudy jest literalnie mowa jedynie o Mieszku II, a nie o Bolesławie Chrobrym, choć recenzowany tekst zawiera stwierdzenie, że: „W początkach XII wieku o czasach Bolesława Chrobrego i Mieszka II istniało w Polsce bardzo blade pojęcie, czego dowiódł [...] Gerard Labuda”. Przyznając, że w sposób dosłowny wielki mediewista nie wypowiedział słów, o które nam chodziło, pozostajemy przy zdaniu, że wiedza na temat Polski z początków XI wieku (łącznie z okresem panowania Bolesława Chrobrego) była sto lat później bardzo mglista. Rzecz jasna, gdy trzeba byłoby skraćć tekst recenzji trzeba byłoby z załem zrezygnować zapewne z tych błyskotliwych, ale w gruncie rzeczy zbędnych popisów.

<sup>3</sup> Tytuł artykułu uległ jednak tymczasem pewnej modyfikacji. O ile pierwotnie oddawał swój rzeczywisty, deklarowany zresztą w wielu miejscach, recenzyjny charakter (Co królowa Rycheza mogła wiedzieć o Lublinie? W związku z pracą Jacka Chachaja, *Lublin – miasto Rychezy? Lubelskie szkice historyczne XI-XIV wieku*, Wydawnictwo Werset, Lublin 2014, ss. 202+1 mapa), o tyle teraz, po zmianie, sprawia zupełnie fałszywe wrażenie, że są to rozważania jego Autora na marginesie recenzowanej pracy. Nie jest także prawdą deklaracja złożona w przypisie pierwszym, że tekst stanowi polemikę z recenzowaną pracą. Daremnym trudem jest szukanie w tekście jakichkolwiek jasnych deklaracji jego Autora na temat koncepcji i rozwoju organizacji kościelnej w najstarszym okresie dziejów Lublina. W najlepszym wypadku znajdziemy w niej jedynie opinie, że jakieś koncepcje są nie do przyjęcia. Geneza tego zabiegu, podobnie, jak kilku innych zastosowanych przez M. Kosonowskiego, pozostaje jego tajemnicą, a przy tym wydaje się on pozbawiony uzasadnienia oraz celowości, poza ewentualnym wprowadzeniem w błąd potencjalnego czytelnika. Dodatkowo w obecnej postaci pojawia się pytanie o zgodność tytułu artykułu z jego treścią, co wydaje się rzeczą wielce zaskakującą u człowieka, który szczyli się tym, że studiuje na jednej z najbardziej szacownych uczelni w Polsce.

<sup>4</sup> Zaledwie z kilkoma pomysłami zawartymi w pracy Autor recenzji zdaje się zgadzać. Dotyczą one rozważań wokół najdawniejszych dziejów północnej części miasta

który wcale nie spodziewał się entuzjastycznego i powszechnego przyjęcia swoich propozycji<sup>5</sup>. Chodzi bardziej o ton i formę niektórych wypowiedzi młodego historyka. Co prawda właśnie ów ton i owa forma zwalniają z obowiązku jakiegokolwiek polemiki z postawionymi przez Autora tezami i mogą raczej skłaniać do zachowania godnego milczenia, jednak równocześnie treść artykułu recenzyjnego stwarza całkowicie fałszywy i niezgodny w prawdą obraz recenzowanej pracy. Po przeczytaniu takiej recenzji, gdybym nie znał treści swojej książki, zapewne nie poświęciłbym czasu na jej lekturę. Jest to jednak nieuczciwe nie tylko wobec mnie, ale przede wszystkim wobec czytelnika, który przeczyta recenzję nie znając treści pracy.

Zarzutów pod adresem książki jest w recenzji niemało. Część z nich na pierwszy rzut oka sprawia wrażenie uwag o charakterze merytorycznym, część już przy pobieżnej lekturze okazuje się mniej lub bardziej absurdałna. Dodatkowo sposób prezentacji zarzutów przez M. Kosonowskiego, z powodu stosowanego stylu, utrudnia zarówno dokładne policzenie uwag i zarzutów (pojawia się ich w recenzji nieco ponad 20), jak też sensowne się do nich odniesienie. niespotykany rozmiar recenzji (35 stron!) uniemożliwia szczegółowe odniesienie się do wszystkich uwag, bo odpowiedź musiałaby być zbliżona rozmiarami, co nie jest dobrym rozwiązaniem. Spróbujmy zatem pogrupować zawarte w recenzji zarzuty i na kilku przykładach wykazać ich prawdziwy charakter.

Można zacząć od tego, że niejasne są już same przyczyny, dla których M. Kosonowski w ogóle podjął się pracy nad artykułem recenzyjnym. Jego tekst jest wnikliwy, miejscami wręcz drobiazgowy, napisany stosunkowo szybko po ukazaniu się książki (wydanej w czerwcu 2014), jeśli uwzględnić czas potrzebny na napisanie tak obszernego i szczegółowego

---

(s. 282 – tekst napisany jest jednak w ten sposób, iż czytelnik może odnieść wrażenie jakoby postulat prac archeologicznych nie pojawił się recenzowanej pracy, a był pomysłem Recenzenta), oraz w jakimś stopniu części pracy poświęconej zagadnieniu lokalizacji najstarszej lubelskiej świątyni parafialnej (s. 284). Nie jest jednak jasne dlaczego akurat te okazały się dla niego przekonujące. Jedyna cecha, która zdaje się odróżniać je od innych hipotez obecnych w pracy jest taka, że w jakiejś postaci pojawiły się już one w literaturze. Może zatem chodzi o to, że M. Kosonowski spotkał je wcześniej i mógł się do nich „przyzwyczać”.

<sup>5</sup> Autor recenzji powinien się raczej spodziewać, że niżej podpisany ma świadomość tego, że jego praca może być źle przyjęta przez część czytelników. Świadczy o tym choćby fragment tekstu omawianej pracy przytoczony przez Recenzenta w przypisie 4 na s. 267.

tekstu. Autor posiadał znaczną erudycję, potrafi szczegółowo analizować różnorodne teksty z błyskotliwym wykorzystaniem swych umiejętności. Ma także dużą śmiałość (chwilami posuniętą do zuchwałości) formułowania sądów. Nie tylko zresztą o recenzowanym tekście, ale także o jego autorze, a nawet środowisku, do którego ten autor należy. Mimo tych wszystkich cech wyjaśniając motywy kierujące nim przy podjęciu prac nad recenzją wydaje się być co najmniej niekonsekwentny.

We wstępie do swego tekstu (s. 266)<sup>6</sup> M. Kosonowski zadeklarował, że do zapoznania się z recenzowaną pracą, analizy zawartej w niej argumentacji, oraz „oceny warsztatu” jej autora (podkr. J. Ch.) skłonił go fakt, że starałem się wykazać, jakoby początki Lublina i związane go z nim ośrodka kościelnego mogły sięgać 1. połowy XI wieku. Teza ta jest rzekomo nową wśród dotychczasowych wyników moich badań, oraz mogłaby wpłynąć „w sposób zasadniczy na rewizję spojrzenia na rozwój struktur kościelnych na ziemiach polskich we wczesnym średniowieczu”. Rzecz w tym, że Recenzent zna (a przynajmniej cytuje – przypis 1) choćby ważną i stosunkowo świeżą pracę<sup>7</sup>, gdzie podobna teza funkcjonuje i nie budzi jego zdziwienia. W mniej lub bardziej otwarty sposób była już ona obecna także w sporej części starszej literatury, której, o ile nawet Autor recenzji nie znał, to wskazówki bibliograficzne mógł bez trudu odnaleźć czytając drobiazgowo przez siebie analizowaną pracę<sup>8</sup>.

Pierwszy z zarzutów postawionych przez Autora recenzji dotyczy już samej kompozycji pracy<sup>9</sup>. Po szczegółowym rozpisaniu spisu tre-

<sup>6</sup> W niniejszym artykule wszystkie miejsca odsyłające do tekstu recenzji zostały oznaczone numerami stron zapisanymi w nawiasie, jeśli zapis zawiera także słowo „Lublin”, np. (Lublin, s. 101), jest to z kolei odsyłacz do strony w recenzowanej pracy.

<sup>7</sup> A. R o z w a ł k a, R. N i e d ź w i a d e k, M. S t a s i a k, *Lublin wczesnośredniowieczny. Studium rozwoju przestrzennego*, Warszawa 2006.

<sup>8</sup> Nie wydaje się zresztą prawdopodobnym, by M. Kosonowski nie słyszał o przekazie wiążącym początki lubelskiego kościoła św. Mikołaja z rzekomą fundacją Mieszka I. Już powierzchowna kwerenda w Internecie wskazuje bowiem, że chodził przez sześć lat do szkół, które mieszczą się zaledwie kilkaset metrów od tej świątyni i musiał koło niej przechodzić co najmniej dwa razy dziennie. Odnosząc sukcesy w konkursach mediewistycznych już w tym okresie nie mógł nie znać tej części literatury, która traktowała wspomniany przekaz niemal na równi ze średniowiecznymi źródłami pisanyymi. Tym większe zdziwienie może budzić jego teza o rzekomej „rewolucyjności” hipotez umiejscawiających początki lubelskiego ośrodka kościelnego w XI wieku.

<sup>9</sup> W tym miejscu można jedynie zwrócić uwagę na jedną kwestię, która w porównaniu z dalszymi uwagami Autora recenzji jest niewinnym drobiazgiem. Otóż na s. 266

ści książki Recenzent dochodzi wniosku, że „zarówno pod względem objętościowym, jak i doboru problematyki dominują rozważania nad XI i XII w., o których ze względu na niemalże całkowity brak materiału źródłowego niepodobna stwierdzić nic pewnego” (s. 267). Wniosek ten, do którego może dojść każdy, kto zada sobie trud zajrzenia do spisu treści, mając jednocześnie zupełnie elementarną wiedzę na temat dziejów Lublina, jest pierwszym z kilku „odkryć” Autora dotyczących recenzowanej przez niego pracy. Udzielanie odpowiedzi na ten zarzut jest bezsensowne. Jak zauważył Recenzent (s. 266) praca jest zbiorem kilkunastu powiązanych ze sobą, lecz odrębnych tekstów. Dotyczą one różnych, choć powiązanych ze sobą problemów. Praca w żadnym stopniu nie rości sobie jednak pretensji do wyczerpania poruszanych zagadnień<sup>10</sup>. Może się nie podobać i każdy ma prawo do swojego o niej zdania. Dlaczego jednak miałyby mieć jakieś konkretne proporcje objętości poszczególnych części? Przenosząc ten sposób myślenia na historiografię średniowiecza należałoby wytoczyć ciężkie działa przeciw pomnikowym „Początkom Polski” Henryka Łowmiańskiego (dla uniknięcia ewentualnych nieporozumień powiedzmy, że niżej podpisany nie sądzi, że dorównał wielkiemu poznańskiemu mediewiście). Wszak z siedmiu opasłych woluminów tego dzieła (ostatni tom składa się z dwóch części) cztery pierwsze i niemal połowa piątego poświęcone są okresowi obejmującemu niemal 2 tysiące lat poprzedzających powstanie państwa polskiego. Dodatkowo materiału źródłowego dotyczącego początków Polski jest dla tego okresu doprawdy niewiele w porównaniu z okresem późniejszym. Nie będzie też chyba przesadą stwierdzenie, że w wielu kwestiach omawianych przez H. Łowmiańskiego „niepodobna stwierdzić nic pewnego”. Na charak-

---

w recenzji pojawia się stwierdzenie: „omawiana książka to zbiór dwunastu esejów historycznych”. Może warto byłoby już w tym miejscu pochylić się choćby nad pytaniami z jakimi tekstami mamy w pracy do czynienia, czym „esej historyczny” różni się od innego typu tekstów, oraz jak należałoby podchodzić do tego typu tekstów, gdyby esejami były. Wszystkie te pytania zapewne jednak umknęły M. Kosnowskiemu.

<sup>10</sup> Dowodem na to, że jest to jedna z cech pracy, której Autor recenzji kompletnie nie rozumiał jest jego stwierdzenie, że w tekście nie zawarto odpowiedzi na liczne pytania związane z lokacją z 1317 roku (s. 295-296). Pomijając już fakt, że wystarczyło przeczytać ze zrozumieniem tytuł, a co najwyżej wstęp pracy, by nie stawiać tego typu postulatów, zauważmy, że deklarując w tytule swojego artykułu, że są to jego uwagi „na marginesie” recenzowanej pracy mógł sam się w tych kwestiach wypowiedzieć.

ter pracy, której recenzję postanowił Autor napisać, powinien zresztą naprowadzić człowieka o takiej erudycji już sam jej tytuł. Należałoby poszukać najpierw skojarzeń z pewnym nurtem historiografii, zanim przystąpiło się do bardzo wnikliwej analizy tekstu w poszukiwaniu potknięć jego autora.

Tymczasem w wielu miejscach recenzji natrafiamy na dowody nie tylko braku zrozumienia, ale też wręcz niechęci wobec wszelkich hipotez, których stawianie wydaje się dla niego wręcz nieuprawnione przez historyka. Zarzutem jest zatem stosowanie „piętrowych hipotez”, „budowanie hipotez na grząskim gruncie” brak „szerszego uzasadnienia” lub „rozstrzygającego argumentu” dla hipotez, stosowanie hipotez, których „nie sposób ani odrzucić, ani potwierdzić”, „niemożliwych do zweryfikowania domysłów”, itd. (s. 271, 274, 281, 286, 287, 298). Dodatkowo Autor recenzji wyraźnie miesza samo postawienie hipotezy z jej „przyjęciem za udowodnioną” (s. 278). Ten rodzaj myślenia zaprowadził go także do sformułowania innego absurdalnego dla stosowanej nie tylko w mediewistyce metodologii (w świetle treści pracy dodatkowo nieuprawnionego) stwierdzenia, że brak nowych świadectw źródłowych „stawia pod poważnym znakiem zapytania wszelkie próby reorientacji dotychczasowej problematyki badawczej” (s. 268).

Własną niechęć do hipotez Recenzent wyraził wprost m.in. w miejscu, gdzie napisał „trudno byłoby przyjąć kolejną propozycję [...], iż na gruncie przekazu Kadłubka można mówić o zastosowanej przez kronikarza grze słów pomiędzy Lublin a „lubić” lub „lubieźność” (s. 277). Otóż właśnie stwierdzenie „trudno przyjąć” wydaje się kluczowym stwierdzeniem dla zrozumienia całej postawy M. Kosonowskiego. Można zrozumieć, że także tym razem nie są to kwestie specjalnie go zajmujące, ale nie wiemy dlaczego w tym miejscu nie przeprowadził kolejnej miazdzącej krytyki. Brak nawiązań do zacytowanego w pracy w kontekście rozważań artykułu Piotra Plisieckiego (w czasie składania książki do druku tekst jeszcze się nie ukazał, ale jest już od dawna dostępny) wykazuje, że Autor zadowolił się zacytowanym stwierdzeniem.

Wygląda więc na to, że M. Kosonowski podjął się zadania zbyt trudnego, które w konsekwencji go przerosło, i któremu nie podołał. Nie rozumiejąc metody uprawiania historii poprzez stawianie mniej lub bardziej wiarygodnych hipotez, i jak się wydaje nie lubiąc domysłów w ogóle, chciał napisać recenzję pracy, w której hipotezy, często

wielopiętrowe, czasem idące bardzo daleko, stawiane są niemal na każdej karcie. O tym, że tak będzie powinien jednak wiedzieć już po przeczytaniu tytułu recenzowanej pracy. Można także zapytać jak w ogóle wyobraża sobie Autor recenzji uprawianie mediewistyki prezentując posunięty do niechęci brak zrozumienia dla stawiania hipotez, oraz co ma do powiedzenia na temat licznych w ostatnich czasie prac dotyczących początków państwa polskiego.

Ostatnia wątpliwość, jaka pojawia się w związku z prezentowanym przez Autora recenzji podejściem do hipotez jest nieco innej natury. Związana jest z tym miejscem recenzji, w którym następuje „rozprawa” z jedną z najbardziej hipotetycznych części pracy, dotyczącej możliwości krótkiego pobytu w 2. połowie XI wieku w Lublinie (oraz być może w Kocku) wygnanych z Rusi książąt Izjasława i Gertrudy. Zważywszy, że ta piętrowa hipoteza została oparta na jednej z możliwych interpretacji przekazu, którą Recenzent stanowczo wcześniej odrzucił (czyli „usunął” najniższe, pierwsze piętro całej konstrukcji, a zatem „obalił” ją jako całość) to pojawia się pytanie o sensowność pracy, którą poświęcił na obszerną z nią „rozprawę”. Tymczasem spośród nieco ponad 12 stron przypadających na recenzję drugiego szkicu, niemal pięć (sporo ponad 40%!) poświęcono na obalenie hipotezy dotyczącej ruskich książąt (jest to prawie siódma część, czyli ponad 14% całej recenzji<sup>11</sup>). Jediną odpowiedzią na to pytanie wydaje się fakt, że była to okazja do popisów elokwencji i umieszczenia w tekście rozbudowanych przypisów zawierających w największej części niczemu nie służące obszerne łacińskie cytaty.

Po przeczytaniu całości recenzji można odnieść wrażenie, że właśnie umieszczeniu owych erudycyjnych, ale słabo związanych z poruszaną problematyką przypisów, służą inne zabiegi Recenzenta (kwestię otwartą pozostawiamy pytanie na ile są one świadome), których stosuje on kilka. Na przykład referując poszczególne hipotezy wybiera tylko część argumentów mających za nimi przemawiać (przy czym wcale nie wybiera wątków najistotniejszych), same hipotezy referuje w sposób fałszywy, albo przytacza szeroką argumentację za tezami banalnymi, lub powszechnie przyjmowanymi za oczywiste.

---

<sup>11</sup> Dla zrozumienia dysproporcji: w recenzowanej pracy rozważania te obejmują nieco ponad 9% całego tekstu liczonego bez bibliografii oraz niespełna 20% tekstu drugiego szkicu.

Jako przykład pierwszego zabiegu można przytoczyć choćby dyskusję wokół pochodzenia nazwy Lublina, gdzie Recenzent pominął wypowiedzi Kazimierza Myślińskiego podważające argumenty językoznawców (s. 276-278; Historia, s. 52-53, przypis 84), pominięcie przy rozbudowanej analizie przekazu Mistrza Wincentego (s. 270-276) informacji, że można w nim stosunkowo łatwo odszukać ślad istnienia kilku (zapewne co najmniej trzech) tradycji dotyczących Rychezy i Kazimierza Odnowiciela, dodatkowo różniących się w szczegółach, oraz oceną poszczególnych osób, co może sugerować istnienie różnych środowisk będących dla Kadłubka źródłem wiadomości (Lublin, s. 27-28), rozważania na temat Kocka, w których Recenzent zupełnie przemilczał istotną dla wątku ruskiego kwestię wzmianki zawierającej słowo *pogost* oraz intrygującą wzmiankę Długosza dotyczącą nadania klucza plockiego biskupom plockim, będących dla badaczy nierozstrzygniętymi zagadkami (s. 291-292; Historia, s. 117-118, 122-124), zbycie stwierdzeniem „pomijam” rozważania, czy pod nazwą zapisaną przez Gerwazego z Tilbury nazwą *Armilla* mogła kryć się rzeka Piwonia (s. 292, przypis 57), albo polemikę z hipotezą o możliwości osadzenia dominikanów przy istniejącym wcześniej kościele w Sieradzu (s. 285), która jest zupełnie poboczna dla ogólnego spostrzeżenia, że była to zasada stosowana w większości polskich miast.

Przykładem praktyki wkładania w usta niżej podpisanego tez, których nie wypowiedział jest np. sugestia, że Mistrz Wincenty czerpał swoją wiedzę o Rychezie z *Kroniki* Galla (s. 275-276 – informacja, że taka teza znajduje się w pracy na s. 27n jest fałszywa), twierdzenie, że w pracy postawiono hipotezę łączącą benedyktynów z kościołami św. Michała i Św. Trójcy (s. 293 – w istocie chodzi tylko o jedną z tych świątyń), albo rozbudowana część recenzji (s. 272-274) mająca związek z całkowicie absurdalną sugestią, że w pracy znajduje się teza, jakoby Lublin mógł być założony przez Cezara. Wyjaśnijmy, że wiedza o istnieniu motywów wędrownych jest dość powszechna wśród mediewistów, ale w recenzowanej pracy nie ma mowy o założeniu Lublina przez Julię, lecz o ciekawej zbieżności między tym, co wiemy o Rychezie, a tym, co napisał Wincenty Kadłubek o Julii<sup>12</sup>, czego być może nie zrozumiał Recenzent.

---

<sup>12</sup> Katalog tych zbieżności jest następujący: 1) są one bliskimi krewnymi cesarza: siostrzenicą (lub siostrą w zniekształconej, ale poświadczonej już wcześniej w Polsce



Jako przykłady trzeciego typu zabiegów można podać choćby spory fragment recenzji (s. 272-274), w której Autor „udowadnia” istnienie motywów wędrownych, w tym motywu zakładania miast przez Cezara lub innych bohaterów, także mitycznych (s. 272-274), czy ocierający się o śmieszność w swej banalności *passus* zawierający informację, że dokumenty były często w średniowieczu podrabiane, więc mogą być mało wiarygodne (s. 291-292 z informacją, że Recenzent napisał na ten temat artykuł!).

W recenzji łatwo dostrzec także kilka innych manier. Jedną z nich jest zawodowa nierzetelność, lub wręcz nieuczciwość. Nieuczciwe jest bowiem sugerowanie, że w pracy nie ma wzmianki na temat dotychczasowego stosunku historiografii do lubelskiego wątku w przekazie Kadłubka (s. 270 – jest to pretekst do kolejnego opisu erudycyjnego w postaci rozbudowanego przypisu 9 na s. 270-271), bo wystarczy do niej zajrzeć (Historia, s. 26, z przypisem 34). Podobne sugestie, albo wprost wypowiedziane uwagi znajdują się jeszcze w kilku innych miejscach recenzji. M. Kosonowski zarzuca niżej podpisanemu niezajomość literatury lub źródeł w przypadku rozważań dotyczących losów Izjasława i Gertrudy, kwestii związanych z Kockiem oraz wydarzeń dotyczących Lublina w latach 1288-1317. Są to zarzuty na tyle poważne, że należy się do nich odnieść.

„Rozprawie” z hipotezą mówiącą o możliwości pobytu książąt ruskich w Lublinie (i ewentualnie Kocku) Recenzent poświęcił sporo miejsca (s. 288-292), a na s. 288-289 znajdujemy stwierdzenie, w którym pojawia się wprost zarzut sprzeczności części tej hipotezy z wymową źródeł. Rzecz w tym, że Recenzent nie zwrócił uwagi na to, że słowa „wiosną 1075 zaistniały warunki, w których rodzina Gertrudy mogła udać się [...] nad Wisłę” nie oznaczają, że się tam udała. Wystarczy zauważyć, że w miejscu, gdzie te słowa padają w pracy jest jedynie referowane stanowisko Teresy Michałowskiej, a także wynikające z tego stanowiska możliwości interpretacyjne. W tym samym przypisie (Lublin, s. 113, przypis 123), 14 wersów wyżej, jest wyraźne stwier-

---

wersji), 2) po okresie walk z cesarstwem (później zresztą wznowionych), w jakimś związku z rozmowami pokojowymi obydwie one zawierają ślub z następcą tronu (lub władcą u Kadłubka), 3) po pewnym czasie wyjeżdżają z kraju, 4) w Polsce pozostaje ich małoletni syn, późniejszy władca, 5) w obydwu biografiach spotykamy wątek niechętnego władczyńi otoczenia: nałożnicy, zdrajców. Można oczywiście te podobieństwa zauważać lub nie.

dzenie badaczki o istnieniu białej plamy w dziejach rodziny Gertrudy od schyłku 1075 do końca 1076 roku. To właśnie ta luka nas interesuje, zatem przytaczanie przekazów mówiących o okresie wcześniejszym jest bezcelowe.

Podobny charakter ma uwaga Recenzenta (s. 292, przypis 57) o zupełnej nieznamości prac Jerzego Strzelczyka dotyczących Gerwazego z Tilbury i oparciu się na „przestarzałej w pewnych partiach” pracy Stanisława Kętrzyńskiego. Zarzut jest o tyle bezsensowny, że dotyczy zagadnienia, co do którego, mimo upływu lat, aktualne pozostają właśnie dawne ustalenia, mianowicie identyfikacja nazwy *Aper* z rzeką Wieprz, co jest o tyle istotne, że stanowi od dawna dla badaczy przesłankę do tezy, że stanowiła ona ważną drogę w naszej części Europy. Dodatkowo Recenzent powołując się na badania J. Strzelczyka dotyczące polskiego informatora Gerwazego z Tilbury stawia w tym miejscu mało roztrofną tezę, że dotarcie danych o ziemiach polskich na zachód miało charakter przypadkowy (!), co jest jego zdaniem wystarczającym dowodem przeciwko uznaniu rzeki Wieprz za ważną drogę.

Trzeci podobny zarzut został sformułowany jako „pominięcie milczeniem” ustaleń K. Myślińskiego dotyczących kwestii daty odzyskania Lublina z rąk ruskich przez rycerstwo krakowsko-sandomierskie (s. 298). Co prawda można było w tym miejscu pracy, w którym mowa o wypadkach z 1302 roku wspomnieć o tezie lubelskiego historyka, lecz trzeba zauważyć, że jest ona oparta na interpretacji sprzecznych zapisów źródłowych i zakłada większą wiarygodność przekazu *Rocznika świętokrzyskiego* nad przekaz *Rocznika Traski*, co pozwoliło przesunąć wydarzenia odnotowane przez źródła z roku 1302 na 1306<sup>13</sup>. Jednocześnie zauważmy, że przywołano jednocześnie najnowszą literaturę, gdzie bez trudu można znaleźć wskazówki bibliograficzne w tej sprawie<sup>14</sup>.

---

<sup>13</sup> K. Myśliński, *Problemy terytorialne w stosunkach między Polską i księstwem halicko-włodzimierskim w XIII wieku*, [w:] *Nihil superfluum esse. Studia z dziejów średniowiecza ofiarowane Profesor Jadwidze Krzyżaniakowej*, red. J. Strzelczyk, J. Dobosz, Poznań 2000, s. 235n.

<sup>14</sup> Można dodać, że ostatnio pojawiła się wśród części archeologów lubelskich teza, że fundatorem zarówno baszty, jak też kaplicy na zamku lubelskim mógł być Wacław II. M. Florek, *Zamek w Lublinie*, [w:] *Zamki Lubelszczyzny w źródłach archeologicznych*, red. E. Banasiewicz-Szykuła, Lublin 2015, s. 29-30, 34. Rzecz jasna przyjęcie tej tezy nie dałoby się pogodzić z rekonstrukcją wydarzeń przedstawioną

Drugim bardzo ciężkim zarzutem, który pojawia się w recenzji jest zarzut przedkładania źródeł późniejszych nad wcześniejsze. Jest on sformułowany w tekście recenzji wprost, choć bez przywołania konkretnych przykładów (s. 299). Wnikliwa analiza treści recenzji pozwala się domyślić, że Autor uznał za przesłankę do postawienia takiej tezy kilka miejsc, w których przedstawiono nie funkcjonujące dotąd w szerszym obiegu naukowym wzmianki z akt wizytacyjnych z 1595 i 1650 roku, tekst poświęcony rozważaniom na temat wieży Daniela, oraz fragment rozważający ewentualną obecność benedyktynów w Lublinie. Rzecz w tym, że w żadnym z tych miejsc nie doszło do „przedkładania” przekazów późniejszych nad wcześniejsze, a jedynie albo do wskazania, że część późnych zapisów może się wiązać z nieznanymi nam, być może zniekształconymi tradycjami lokalnymi (jak jest w przypadku zapisów Długosza o kościele istniejącym w miejscu, gdzie osiedli później dominikanie, oraz przekazów wizytatorów – co nie mieści się w głowie Recenzentowi), albo z próbą wybrnięcia z sytuacji, w której przekazy źródłowe wydają się podawać sprzeczne informacje (jak jest w przypadku pytań o wieżę Daniela). Dodatkowo w tym drugim przypadku M. Kosonowski bardzo mechanicznie stosując zasadę, że bliższe prawdy są źródła późniejsze i odwołując się do „najstarszego źródła” (s. 288) dochodzi do nie wypowiedzianego wprost, ale wynikającego z jego niejasnych wywodów odrzucenia przekazu roczników polskich oraz Długosza jako późniejszych wobec *Latopisu halicko-wołyńskiego*. Pozwala mu to stwierdzić, że „utożsamienie [...] tajemniczej wieży z dzieła Długosza z salą na jednym słupie [jest to jedna z hipotetycznych propozycji rozwiązania problemu czym mogła być wieża Daniela] nie wytrzymuje konfrontacji z najstarszym źródłem”. Konsekwencją takiego podejścia powinno być także zanegowanie wiarygodności tych wszystkich miejsc w dziełach Długosza, gdzie występują niezgodności z dawnymi przekazami lub podobne zagadki (ciekawe co powiedzą ci, którzy zajmują się dziejami najazdu mongolskiego na Polskę w 1241 roku?). W interesującym nas przypadku z pozoru nie ma o czym mówić – Daniel nie zdobył Lublina w 1244 roku, a Długosz się mylił, bo oparł się zapewne na błędnym

---

przez K. Myślińskiego, którego argumentacja prowadzi do wniosku, że Lublin aż do 1306 roku pozostawał w rękach ruskich. M. Kosonowski miał jednak prawo nie dotrzeć do cytowanej pracy, bo ukazała się ona już po tym, jak złożył recenzję do druku.

zapisie w *Roczniku świętokrzyskim nowym*. Takie bezrefleksyjne podejście do uprawiania historii może się jednak poważnie zemścić. Wystarczy bowiem zwrócić uwagę na fakt, że *Latopis halicko-wołyński*, przez Recenzenta, darzony z racji swego chronologicznego pierwszeństwa większym zaufaniem, niż źródła polskie, zachował się w *Latopisie hipackim*, spisany w początkach XV wieku<sup>15</sup>, by argumentacja okazała się bardzo krucha, a cały problem powrócił ukazując w całej ostrości płytkość zbyt prędkiej tezy M. Kosonowskiego. Dodatkowo powinien on udzielić odpowiedzi na pytanie skąd wziął się błędny zapis w polskich rocznikach? Jest to zatem droga do nikąd.

Skrupulatnie wytykając wszelkie ewentualne pominięcia literatury i źródeł, które nawet pośrednio wiążą się z omawianą w pracy tematyką Recenzent sam nie ustrzegł się poważniejszych potknięć. Pochłonięty dyskusją dotyczącą pierwotnej nazwy Lublina zaprzeczył sam sobie, stwierdzając, że nazwa Lublina pojawia się po raz pierwszy w *Kronice* Wincentego Kadłubka (s. 277), choć wcześniej (s. 267, przypis 4) słusznie zauważył, że istnieje wcześniejsza, pochodząca z 1198 roku wzmianka. Dodatkowo zapomniał, że powoływanie się na zapis zawarty w przekazie Kadłubka jest o tyle zawodne, że najstarsze zachowane rękopisy kroniki, na których opierają się badacze, pochodzą z XIV wieku. W Recenzji napotykamy cały szereg mniej lub bardziej absurdalnych wypowiedzi (pomylenie hipotezy z dowodem przy wskazaniu zbieżności wezwań najstarszych lubelskich kościołów z wezwaniami świątyń fundowanych lub pozostających pod opieką Ezzonidów i „obalenie” tego argumentu wobec powszechności tych wezwań – s. 274; podważenie wiarygodności przekazu źródłowego dlatego, że nie jest on potwierdzony w innych źródłach – s. 279; stwierdzenie, że gród przekształcił się w miasto – s. 294), na które nie sposób, choćby z braku miejsca odpowiadać.

Czytelnik, który zapozna się z recenzją nie sięgając do będącej obiektem recenzji pracy może odnieść wrażenie, że obfita literatura i przypisy służą wykazaniu bezpodstawności zawartych w niej „piętrowych hipotez”. Tymczasem wystarczy zestawzić kilka miejsc w pracy i recenzji by przekonać się, że także pod tym względem M. Kosonowski postępuje co najmniej nierzetelnie. Znaczna część rozbudowanych przypisów znajdujących się w recenzji jest bowiem w większości

---

<sup>15</sup> *Kroniki staroruskie*, opr. F. S i e l i c k i, Warszawa 1987, s. 9, 11, 233.

zbieżna z zawartością przypisów zawartych w pracy, choć w kilku miejscach zostały one uzupełnione, oraz z reguły poszerzone o obfite cytaty. Przykładów stosowania tej metody jest w pracy wiele. Przypis 17 na s. 274 jest zbieżny, nawet co do cytowanych stron, z przypisem 34 na s. 26 w recenzowanej pracy (ściślej różnica jest taka, że M. Kosonowski przywołuje tylko starsze wydanie pracy, a w recenzowanej książce podane są także strony, gdzie interesujący nas fragment znajduje się także w nowszym wydaniu), przypisy 29 i 30 (s. 279) zdecydowanie nawiązują treścią do przypisów 50 i 51 w pracy, a Recenzent z otwartą szczerością przyznaje pod koniec przypisu 29, że „zupełnie nie wiadomo czemu miało służyć tak obfite zestawienie zapisów tzw. schematyzmów diecezji lubelskiej”, które to zapisy znajdują się w przypisie 51), itd.

Wszystko to pozwala uznać, że mamy do czynienia z recenzją, której negatywna konkluzja była założona z góry, a forma i treść miały tylko służyć jej udowodnieniu. Poza kilkoma miejscami nie ma w niej miejsca na merytoryczną dyskusję, a tych miejscach, gdzie taka dyskusja się pojawia z całą ostrością wychodzą warsztatowe braki młodego historyka. Wydaje się on nie rozumieć ani charakteru, ani treści recenzowanej pracy, stawiając zarzuty nie wykorzystania literatury zdaje się nie wiedzieć na czym polega korzystanie z dotychczasowych ustaleń, zarzucając przedkładanie źródeł późniejszych nad wcześniejsze jest całkowicie bezradny w sytuacji sprzeczności wymowy przekazów źródłowych i ma poważne kłopoty z rzeczowym ich datowaniem.

Czas na kilka spostrzeżeń nieco ogólniejszej natury. Od dawna metodyka nauczania rozróżnia trzy poziomy celów, jakie wyznacza sobie edukacja. Są to cele poznawcze, kształcące i wychowawcze. Zaniedbanie którejkolwiek z tych trzech grup oznaczało klęskę pedagogiczną, a osoba, która nie zdoła osiągnąć w elementarnym stopniu postulowanych przez system edukacyjny celów choćby w jednej dziedzinie, nie była traktowana, jako w pełni wykształcona. Mimo ostatnich zmian, także dzisiaj w dużym stopniu założenia te pozostają aktualne. Także humanista, a może przed wszystkim humanista, powinien pamiętać, że obok opanowania pewnego zakresu faktografii (przy czym rozróżnia się poziomy „znać” oraz „rozumieć”!), czy odczytania (traktowanego, jako nie kończący się proces), liczą się także umiejętności. Te ostatnie z kolei mogą być wykorzystywane zarówno w sytu-

acjach typowych (co można osiągnąć metodami niewiele różniącymi się od tresury), oraz nietypowych, gdy trzeba wykazać się samodzielnością myślenia. Poza krytycznym podchodzeniem do treści źródeł, czy do cudzych sądów, co najmniej równie istotne jest opanowanie umiejętności logicznego argumentowania, czy doboru metod uprawiania nauki do konkretnej dziedziny. Z kolei wśród postaw, które warto wymienić w kontekście niniejszego tekstu wspomnijmy jedynie od umiejętności odróżnienia sądów o wypowiedzianych przez kogoś tezach, od sądów o tym kimś, a już tym bardziej o jego środowisku.

Zajmowanie się historią może być wielką, fascynującą przygodą. Są dziedziny (w tym wczesne średniowiecze), w których pracę historyka można porównać do poszukiwania legendarnego kwiatu paproci, które da się prowadzić na wiele sposobów. Można co jakiś czas wyprawiać się w gęstwinę dzikiej puszczy, gdzie niewiele widać, a człowiek kieruje się zarówno swoimi umiejętnościami, jak instynktami, ale też zwyczajnie liczy na łut szczęścia. Ma też świadomość, że te poszukiwania często prowadzą go w złych kierunkach, że czasem trzeba zweryfikować swoją dotychczasową wiedzę, albo podjąć śmiałą decyzję marszu ledwie widoczną w gąszczu ścieżką, lub przedzierania się przez ostre zarośla ryzykując poważne zranienia. Co więcej, wszystkim wyprawom towarzyszy świadomość, że poszukiwania mogą nigdy nie zakończyć się sukcesem, a sam kwiat paproci może się w końcu okazać mitem. Można w przerwach między kolejnymi wyprawami słuchać rad tych, którzy już w ostępach bywali, szli przez zarośnięte ścieżki, mają ochotę dzielić się swoimi doświadczeniami. Jest też jednak inny sposób poszukiwań – gdy liczy się przede wszystkim szybkość i skuteczność. Można wysłać nad wiekową puszcę bombowce, które zrzucą napalm, a następnie uzbroić się w tęgą siekierę (bo żadna paproć jej się nie oprze), oraz na wszelki wypadek także ostry nóż, gdyby nieoczekiwanie w leśnych ostępach pojawił się konkurent. Osoby, których niżej podpisany spotykał dotąd na swej drodze, a które uważał za swoich Mistrzów, zawsze zachęcały i nadal zachęcają go do tego, aby wybierał ten pierwszy sposób poszukiwań, oraz, aby jego bronią były nie tylko pracowitość (która jest oczywiście niezbędna), ale także zaciekawienie, wrażliwość na rzeczy nieoczekiwane, otwartość, umiejętność przyznania się do błędu, czy chęć współpracy z innymi poszukiwaczami (bo w istocie chodzi przecież o to, aby dotrzeć jak najbliżej do kwiatu paproci, nawet wspólnie,

a nie o to, by pozbyć się rywali). M. Kosonowski może jeszcze wybrać swój sposób poszukiwań, jeszcze ma czas, aby przemyśleć znaczenie wszystkich powyższych słów, których nie znajdzie się w żadnym akademickim podręczniku.

Wydaje się, że powinien wziąć sobie do serca także inne słowo, które brzmi: „dojrzeć” (i to w obydwu jego znaczeniach). Trzeba bowiem zwyczajnie dojrzeć do tego, by umieć dojrzeć to, co istotne w uprawianej przez siebie dziedzinie. Recenzent już potrafi wykazać się znajomością literatury i źródeł, a przynajmniej stworzyć wrażenie takiej znajomości (inna rzecz, czy potrafi w rozumny sposób wykorzystać ich treść), oraz podejmować dość bezkompromisowe polemiki. Jeśli natomiast nie nauczy się odróżniać dyskusji z tezami, które go nie przekonują, lub których nie rozumie, czy wykazywania błędów w argumentacji od frontalnego ataku na adwersarza i na jego środowisko, przy tym ataku sprowadzającego się do podważania zupełnie elementarnych umiejętności zawodowych, może się narazić na poważne konsekwencje. Zarówno bowiem przypisywanie innym tez, których oni nie stawiają, jak też sugerowanie istotnych braków zawodowych (zarzut ten dotyczy nie tylko niżej podpisanego, ale wszystkich osób, które zarówno były jego Mistrzami, jak też miały okazję wypowiadać się na temat jego kompetencji przy okazji kolejnych etapów drogi zawodowej; były to osoby reprezentujące różne środowiska historyczne, także środowisko krakowskie) może mieć poważne konsekwencje. Trzeba pamiętać, że są w środowisku naukowym osoby o różnych temperamentach, a niektóre wobec tego typu sugestii nie rozważałyby napisania dosadnej polemiki, lecz wystąpiłyby na drogę sądową. Dodatkową (ale konieczną, bo jej lekceważenie może powodować równie przykre skutki) umiejętnością wobec wskazanej wyżej jest także sztuka takiego sporządzania aparatu naukowego, by nie zachodziło podejrzenie, że Recenzent, nie wspominając o tym, korzysta z pracy innych.

Humanista powinien wiedzieć, że każdy przekaz (np. pojedyncze zdanie) zawsze funkcjonuje w kontekście. Liczy się nie tylko jego miejsce w konkretnym tekście, ale także czas jego pojawienia się, a także to kto dany przekaz wysłał i pod jakim adresem. Wyrwane ze wstępu recenzowanej pracy zdanie o problemie lokalnego lubelskiego środowiska dotyczącym początków miasta, ma inną wymowę, gdy wypowiedziane jest przez kogoś, kto należy do tego środowiska (jest

ono wtedy swego rodzaju apelem o zainteresowanie kwestią skierowanym do bardzo szerokiego kręgu odbiorców – począwszy od władz miasta, które mogłyby objąć patronatem szeroko zakrojone badania archeologiczne, przez lubelskich archeologów, po zainteresowanych dziejami Lublina humanistów), zaś zupełnie inną, gdy wypowiada je człowiek, który skrzętnie ukrywa, że coś go z tym miastem łączy. Jest to wtedy bowiem niezbyt taktowny atak na całe środowisko, dodatkowo przeprowadzony w sposób mogący je wewnętrznie antagonizować.

---